



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Mirosława Sieradzka-Metera

Jak zostałam żołnierzem AK

W dniu wybuchu wojny mieszkałam z Mamą w Warszawie i miałam 7 lat. 1-go września miałam rozpocząć naukę w drugiej klasie szkoły im. E. Plater przy ul. Pięknej (dawniej Piusa XI). Mieszkałyśmy na Powiślu przy ul. Koźmińskiej (dom stoi do dziś). Mama pracowała w Polskim Radiu, przy Placu Dąbrowskiego, w Biurze Studiów i Programów u pani H. Sosnowskiej. Rodzice moi od 1936 roku żyli w separacji. Ojciec, Władysław Waclaw Sieradzki, znany na Pomorzu działacz harcerski, a nawet w pewnym okresie Komendant Chorągwi Pomorskiej, mieszkał w Toruniu i był urzędnikiem Banku Spółek Zarobkowych.

Po wkroczeniu Niemców do Warszawy Mama przestała pracować w Radiu. Aby jakoś przetrwać czas wojny (liczono go na kilka tygodni) kilka pań, dawnych pracowniczek Radia, uruchomiło jadalnię. Tam zatrudniła się również moja Mama, pracując aż do rozwiązania tej placówki przez Niemców (chyba w roku 1940).

Tato, o ile dobrze pamiętam, przyjechał do nas w listopadzie 1939 roku. Ku mojej radości rodzice pogodzili się. Konflikt ich polegał na tym, że Ojciec dzielił swój czas pomiędzy bank a harcerstwo. Dla nas już go nie starczało... Mama z kolei po pracy w biurze nie miała innych obowiązków, a była młoda, atrakcyjna, chciała bywać z mężem w kawiarniach, na dancngach, balach itp. Ojciec chociaż też bardzo to lubił, nigdy nie miał czasu. W Warszawie wszystko sobie wyjaśnili.

Nasze mieszkanie (dwa pokoje, kuchnia, łazienka) zmieniło się w obszerną noclegownię. Ojciec organizował przerzut harcerzy z Pomorza w inne rejony Polski lub do Rumunii, a dalej do polskiego wojska we Francji. Takich „noclegowni” było na pewno w Warszawie wiele.

Chyba w połowie lub wiosną 1940 roku naszą uliczkę zaliczono do dzielnicy niemieckiej i kazano opuścić mieszkanie, pozwalając zabrać tylko trochę odzieży. Zamieszkaliśmy w pokoju sublokatorskim przy ul. Sienkiewicza 3 u pani Kolankowskiej. Pani ta, żona oficera przebywającego w oflagu, mieszkała z córką i zięciem (Jerzy Engel czy Englert). Ojciec mój był już w tym czasie poszukiwany przez gestapo i przebywał w różnych podwarszawskich miejscowościach (m.in. w cegielni w Gołkowie, jako księgowy), nie zaprzestając organizacji działań konspiracyjnych, głównie organizując młodzież harcerską do walki z okupantem.

Jednym z punktów kontaktowych było Biuro Budowlane inż. Kieszczyńskiego, także związanego z ruchem harcerskim. W tym czasie w Warszawie i okolicy miały miejsce liczne aresztowania (grudzień 1940-styczeń 1941). Mówiono wtedy, że jeden z „chłopców” złapany na granicy i torturowany – nie wytrzymał i powiedział wszystko co wiedział, a wiedział sporo. Mówiono też, że to było działanie prowokatora. Były to początki konspiracji i ludzie nie nauczyli się jeszcze takiej „dyskrecji”, jak w la-

tach późniejszych. Wszyscy mieli do siebie zaufanie i wierzyli, że łączy nas jeden cel: walka z najeźdźcą. Życie niestety pokazało co innego. Donosiciele nie brakowało.

Tato w Gołkowie zachorował na nerki (była ostra zima), odmroził ręce i ogólnie czuł się źle. Aresztowania jakby przycichły. 11 stycznia 1941 roku przyjechał do nas tuż przed godziną policyjną. Po kąpieli, zażyciu aspiryny, posmarowaniu rąk maścią ichtiolową (nic innego nie było) rozmawiał z nami do późna. Byłam taka szczęśliwa. Bardzo kochałam Ojca. Bardzo!

12 stycznia 1941 roku o godzinie 5-tej rano walenie w drzwi. Do naszego pokoju władowało się 12 żandarmów, oficer gestapo i kierowca-tłumacz. Przyszli po Tatę. Nigdy nie zapomnę tych chwil! Mówiono, że zabierają Go na krótko, celem złożenia wyjaśnień, ale ja czułam, że już nigdy Go nie zobaczę. Bardzo płakałam. Tato ubierał się. W pewnej chwili gestapowiec podszedł do tapczanu, na którym leżałam i chciał mnie pogłaskać po głowie, pewnie abym przestała płakać, ale gdy tylko mnie dotknął, wydało mi się to czymś tak wstrętnym, że wzdrygnęłam się i zaczęłam okropnie wrzeszczeć. Doznałam jakiegoś szoku. Opisuję to tak szczegółowo, bo mimo, że upłynęło już kilkadziesiąt lat, pamiętam to jakby było wczoraj. Gestapowiec kazał żandarmom wyjść z pokoju. W tym czasie Tacie udało się przekazać Mamie notesik adresowy. Tak, tak, wtedy jeszcze notowało się adresy, ich opanowywanie pamięciowe to lata późniejsze. Żegnając się z nami Tato prosił Mamę, aby dbała o moje bezpieczeństwo i wykształcenie. Nigdy już go nie zobaczyłam. Do kwietnia przebywał na Pawiaku, a potem wywieziono go do Oświęcimia. Zmarł – czyli zamordowano go – w sierpniu 1941 roku (według oficjalnego aktu zgonu, który udało mi się zachować do dziś). Z Pawiaka otrzymałam jeden gryps: niewielką poplamioną krwią karteczkę (zrywano mu paznokcie), a na niej: „niech moja córeczka nigdy nie zapomni, za co zginął jej ojciec”. Nie zapomniałam.

Aresztowanie Ojca było nie tylko tragedią rodzinną, uświadomiło Mamie, że działalność Ojca to nie tylko „harcerskie harce”, ale poważna praca wychowawcza młodzieży na dzielnych patriotów, dla których Ojczyzna i jej niezawisłość są na pierwszym miejscu. Zapragnęła, w miarę swoich możliwości, zająć miejsce Taty i kontynuować Jego działania. Zaczęła szukać kontaktów. Niestety, organizacja (Szare Szeregi) uważała (i chyba słusznie), że będziemy pod obserwacją gestapo, które za naszym pośrednictwem będzie chciało trafić do reszty rozbitej styczniowymi aresztowaniami organizacji. Zresztą same zaobserwowałyśmy, że jesteśmy śledzone.

W mieszkaniu pani Kolankowskiej, u której nadal mieszkaliśmy, spotykali się w jednym z pokoiów jacyś panowie. Okazało się, że zięć tej pani należy do jakiejś wojskowej organizacji podziemnej i stąd te spotkania. Byli to ppłk Marian Dorotycz-Malewicz ps. Hańcza – Szef Komórki Zrzutów przy Oddziale V Komendy Głównej AK (miał on jeszcze kilka innych pseudonimów jak np. Szubert, Strzemie), kpt. Janusz Zbrowski ps. Janusz, ppor. Aleksander Szenajch ps. Roman i kilku innych, których już dokładnie nie pamiętam. Była druga połowa roku 1941. W końcu tego roku Mama moja została zaprzysiężona jako łączniczka tej grupy, ps. Iza.

Żona pana Jurka E. była osobą bardzo młodą i nerwową. Zakochana w mężu – bała się panicznie o jego bezpieczeństwo i życie. Zakazała mu kategorycznie (grożąc denuncjacją) działalności konspiracyjnej i zażądała zaprzestania spotkań w ich mieszkaniu. W tym samym mniej więcej czasie Mama spotkała jedną ze swoich koleżanek z dawnych lat, która właśnie urządziła się w pięknym 3-pokojowym mieszkaniu przy ul. Siennej. Widząc w jakich warunkach mieszkamy, zaproponowała wspólne zamieszkanie. Była to atrakcyjna, młoda, samotna blondynka, pracująca w jakimś niemieckim biurze. Była pomorzanką, świetnie znającą język niemiecki. Wesoła, towarzyska. „Nasi panowie” uznali, że jej mieszkanie będzie dogodnym miejscem spotkań (zamiast lokalu przy ul. Sienkiewicza). Namówili Mamę na przeprowadzkę. Mieszkanie było ładne, a ja miałam swój własny pokój, planowany do tych ww. spotkań. Mówiło się, że są to koledzy Taty, którzy opiekują się nami.

Na ogół spotkania odbywały się w czasie, gdy Helenka była w pracy. Wszystko wydawało się być w porządku dopóki Helenka nie wpadła kiedyś do domu o nieprzewidzianej porze i nie uznała, że „nasi panowie” są bardzo atrakcyjni. Zapalała chęcią bliższego ich poznania. Poza tym poznała jakiegoś Niemca, w którym się zakochała i który o różnych porach zaczął przebywać w tym mieszkaniu. Miał klucze i przychodził sobie wypoczywać lub czekać na Helenkę. Mało tego. Niemiec miał przyjaciela, który zainteresował się Mamą. Grunt zaczął się palić pod nogami. Należało szybko zmienić lokal. Powiedziałyśmy, że wyjeżdżamy do rodziny do Brwinowa, podając nieistniejący adres.

Wynajęto nam mieszkanie dwupokojowe w dzielnicy tzw. pożydowskiej, przy ul. Waliców 14 m. 42. Był to okres, kiedy likwidowano getto, dzieląc je na tzw. duże i małe. Małe (o ile pamiętam) obejmowało część ulicy Żelaznej, Ceglanej, Waliców. Przez środek jezdni ul. Ceglanej (dziś Perca) przechodził mur, gęsto pilnowany przez, jak ich nazywaliśmy, Kałmuków (jakiej naprawdę byli narodowości – nie wiem). Byli nieprzystępni i okrutni. Waliców po stronie aryjskiej zaczynała się od numeru 10. Po nieparzystej stronie mieściły się magazyny różnych wytwórni wódek, likierów itp. Z tyłu naszego domu, od ul. Ceglanej, były magazyny niemieckiego kupca J. Meinla. Zamieszkałyśmy na I piętrze, w drugim podwórku (dom istnieje do dziś, tylko brak mu frontu). Było to nie tylko jedno z miejsc zamieszkania ppłk. Malewicza, ale także miejsce bardzo częstych spotkań kierownictwa

Komórki Zrzutów. Nie pamiętam dokładnie daty, kiedy się tam wprowadziliśmy. Była chyba jesień lub zima 1942 roku.

W pokoju ppłk. Malewicza, w rogu po lewej stronie, była w podłodze skrytka na dokumenty, pieniądze itp. Okno pokoju było na wprost bramy. Każdy wchodzący był doskonale widoczny. Zarówno na strychu, jak i w piwnicy były ukryte przejścia, umożliwiające w razie czego ucieczkę na ul. Ceglana.

Tyle wstępu o tym, jak znalazłam się w Komórce Zrzutów. Początkowo udział mój był niewielki. Gdy Mama lub inna z łączniczek miały do przeniesienia jakieś ważne dokumenty, pieniądze itp., często ja to niosłam w swojej dziecinnej torebce. Dopiero w czasie Powstania dowiedziałam się co przenosiłam. Nigdy nie byłam wścibska, natomiast zawsze bardzo przejęta ważnością powierzonego mi zadania. Byłam bardzo szczupła i mizerna. W przypadku zatrzymania Mamy przez żandarmów stałam z boku lub powoli odchodziłam do najbliższej bramy i tam na Nią czekałam. Umierałam za każdym razem z obawy, że Ją aresztują. Na ogół nie zwracano na mnie uwagi, co najwyżej przeganiano z obszaru legitymowania. Łapanek starałyśmy się unikać. Oczywiście „dookoła głowy”, dużo czujności, intuicji no i szczęścia. Udało się. Może Tato nad nami czuwał? Poza tym w czasie okupacji w Warszawie istniała duża solidarność międzyludzka (poza tym szczególnym elementem, jakim byli konfidenti, kapusie itp.) i jeden drugiego uprzedzał: „Proszę tam nie iść, bo łapią”. Uprzedzali też motorniczy tramwajów. Gdy wyjeżdżając zza zakrętu widzieli rozstawione budy, natychmiast zwalniali, aby ludzie mogli wyskoczyć i uciec, w wyskakiwaniu i wskakiwaniu do tramwaju nabrałyśmy z Mamą dużej biegłości.

Pełne moje wejście w świat konspiracji nastąpiło wkrótce po naszym zamieszkaniu na Waliców. Poprzednio Mama starała się ukryć przede mną swoją pracę łączniczki i to, kim tak naprawdę są odwiedzający nas panowie. Jak już pisałam, moment aresztowania Ojca był dla mnie ogromnym szokiem. Wydoroślałam, stałam się osobką bardzo poważną i to w wieku 9 lat! Mama, mimo osobistych konfliktów z Ojcem (tych przed wojną), nigdy do mnie źle o nim nie mówiła. Obwiniła siebie, że nie rozumiała jego społecznikostwa, nie dorosła do niego itp. Wyrastałam w przekonaniu, że umiłowanie wolnej Ojczyzny i praca dla niej to podstawowy obowiązek każdego Polaka. Gdy to piszę brzmi to banalnie, ale tak wtedy obie czułyśmy. Ja, bo chciałam choć trochę być podobna do Ojca. Mama, bo uważała, że jest to winna Jego pamięci. Z jednej strony zdawała sobie sprawę, że jestem dzieckiem i pamiętała, że Tato kazał mnie chronić, z drugiej widziała, że nie jest w stanie powstrzymać mnie przed udziałem w konspiracji. Wolała więc, żeby się to działo choćby trochę pod jej okiem. Byłam bardzo poważna na swój wiek. Czytałam wiele książek dla młodzieży – nie tylko Czarską, ale Rodziewiczównę, Orzeszkową, Prusa, Mickiewicza, Słowackiego. Niektóre poematy znałam całe na pamięć. Doroślałam w przyspieszonym tempie.

Pułkownik Hańcza początkowo był stanowczo przeciwny mojemu udziałowi w czymkolwiek. Wydawało mu się, że chroni także własną córkę, 18-letnią wtedy pannę. Ta bardzo piękna dziewczyna (przyjeżdżała czasem do Warszawy, uwielbiała ojca), poza wiedzą ojca, była w tym czasie kurierką podróżującą po całej Europie. Wpadła przypadkowo w Krakowie. Zginęła, bestialsko torturowana w gestapo, do końca nikogo nie zdradzając.

Nieustępliwość pułkownika zmieniło życie. Gdy u nas w domu odbywały się spotkania – głównie: Malewicz, Szenajch, Zbrowski, ktoś z terenu lub KG AK, nieco później doszedł mjr Milewicz ps. Wiktor, Róg (cichociemny), łączniczki Basia (Kruszyńska? Nie pamiętam nazwiska, mieszkała z rodzicami na Lwowskiej) i Marysia (Micińska) – polecano mi na ogół wychodzić na podwórko i pod pozorem niby to zabawy z rówieśnikami obserwować, kto się podejrzanie kręci, czy ktoś nie przyszedł do nas „z ogonem”, czy nie podejrzają Niemcy. Pole obserwacji nie było dla mnie żadną trudnością, nikt mnie przecież o nic nie podejrzewał. Ot, bawi się dziewczynina na podwórku. Znałam doskonale wszystkie przejścia piwniczne i strychowe. Pokazano mi miejsca, gdzie wystarczy lekko pchnąć ścianę i odkrywało się przejście na Ceglana. W razie niebezpieczeństwa zawsze, nie budząc podejrzeń, mogłam kogoś bezpiecznie przeprowadzić. Tak zaczęła się moja „praca”.

Pewnego dnia płk Hańcza wrócił bardzo zdenerwowany, gdyż w umówionym miejscu nie było łącznika z dokumentami. Pułkownik miał kilka różnych dokumentów tożsamości (kennkart), wystawionych na różne nazwiska (był poszukiwany przez gestapo, które informacje o nim dostało od lwowskiego NKWD). W różnych dzielnicach Warszawy nazywał się różnie. Trzeba mu było wymieniać te dokumenty w określonych miejscach miasta. Odbywało się to na ogół w bramach lub na skwerach itp. Miałam więc już dwa zadania: podwórko i dokumenty. Nieco później, pewnego dnia, łączniczka nie przyszła na czas. Trzeba było zanieść mały zwitek bibułki na ul. Żelazną do księgarni, w której pracował „Antoni” lub „Księgarz” (wysoki, łysy pan o otwartym spojrzeniu dużych niebieskich oczu). Nazwiska niestety nie pamiętam, może M. Kaucki? Nie jestem pewna. Chodził często ubrany w czarny, skórzany płaszcz i kapelusz filcowy. Wyglądał jak gestapowski tajniak. W tym „stroju” zastało go Powstanie i w takim stroju skontaktował się z nami po wojnie w Sopocie.

Sprawa była pilna. Poprosiłam, aby mnie pozwolono to zanieść. Nie było to daleko od naszego mieszkania. Hańcza, jak zwykle, niechętnie odniósł się do „wyręczenia się” mną, ale Janusz i Roman

przekonali go. Pobiegłam i wszystko było OK. Tak zaczęła się moja „praca” łączniczki. Mimo 11 lat byłam sprytna i dosyć rozsądna, a przede wszystkim dumna, że idę „drogą Taty”.

Płk Malewicz często wyjaśniał swoim współpracownikom (niekiedy wolno mi było słuchać), jak wyobraża sobie pracę konspiracyjną. Był mistrzem w tej dziedzinie. Nie znosił i nie tolerował żadnej brawury, gadulstwa itp. Wymagał od siebie i od innych żelaznej dyscypliny (miał z tego powodu wielu wrogów). Kładł nam do głów, że unikanie wpadki to nie tylko troska o własne bezpieczeństwo (choć to bardzo ważne), ale także kolegów. Gdy mnie złapią i zaczną bić czy torturować, nie wiadomo jak się zachowam, a więc dobrze wiedzieć jak najmniej, nie być wścibskim, nie dochodzić za wszelką cenę informacji, które nie są mi bezpośrednio przekazywane. Tępił bezlitośnie wszelką niesubordynację, lekkomyślność w postępowaniu itp. Chciałam być dobrym żołnierzem, więc chłonełam to wszystko z zapartym tchem.

Z czasem zadania moje poszerzały się: oprócz obserwacji podwórka i ulicy przed domem (tylko w czasie ważnych spotkań u nas w domu), chodzenia do Antoniego do księgarni, zaczęłam także chodzić do Romka do perfumerii (jego przyjaciółki) na Zielną. Znosiłam przeważnie pudełka od zapalek, w których były „cenne” bibułki lub nieduże pakieciki (czasem dosyć ciężkawe). Od czasu do czasu zносиłam w określone miejsca dokumenty „na wymianę” pułkownikowi. Chodziłam też pod inne adresy, których już dziś dokładnie nie pamiętam: do kogoś daleko na Okęciu, gdzieś na Koszykową, Skorupki...

Pewnego dnia, było to chyba w połowie roku 1943, Mama powiedziała mi, że za kilka dni będę składała przysięgę żołnierza AK. Byłam szczęśliwa i przerażona. Szczęśliwa, że nareszcie nadchodzi ten moment, o którym wątpiałam, że kiedykolwiek nastąpi, przerażona i przejęta powagą chwili. Zaczęłam pilnie uczyć się przysięgi na pamięć, choć Mama mówiła, że wystarczy powtarzać za wygłaszającym. Po kilku dniach przyszło dwóch panów (chyba tak przejętych jak ja), niestety nie pamiętam ich pseudonimów ani nazwisk. Nadano mi pseudonim „Inka”. Panowie chyba nie byli z Warszawy, bo więcej ich nie widziałam. Powtarzałam z nimi przysięgę przed pułkownikiem. Byliśmy wszyscy bardzo wzruszeni.

W kilkanaście dni po przysiędze dostałam nakładkę na ząb z cyjankiem, zrobioną specjalnie dla mnie w Londynie. Było oczywiste, że w razie aresztowania nie wytrzymam bicia czy tortur. Ząbek ten był tak zrobiony, że wyglądał jak prawdziwy i żadna rewizja by go nie wykryła. Przynajmniej ja w to wierzyłam.

Po przeżyciu związanym z przysięgą dni płynęły dosyć monotennie. Chodzenie na Żelazną i Zielną, czasem gdzie indziej. Tam gdzie kazano. Było też wiele bardzo nerwowych sytuacji, ale nie wydaje mi się, aby to było miejsce na ich opisywanie. Była to warszawska codzienność. Ciągłe ktoś ginął, ktoś był aresztowany, inny był szczęśliwy, że umknął łapance. Prawie wszyscy nasi znajomi byli wciągnięci w orbitę konspiracji. Na ulicy trzeba było mieć oczy „dookoła głowy” i szybki refleks. Nie było mowy o takim tam sobie bezmyślnym spacerowaniu. Bywało tak, że dla łapanki zamykano ulicę, przy bramach stali żandarmi, ale byłam nieduża, chudzina z warkoczykami, więc przepędzali mnie na ogół z wrzaskiem (na moje szczęście). Raz niosłam pudełko z ciastkami (w podwójnym dniu były ważne bibułki) i żandarm zapytał co tam mam.

– Ciastka dla Mamy.

– Dla Mamy? Polskiej świni? – Wyrwał mi to pudełko, rzucił na chodnik i podeptał. Był wściekły, a ja przerażona. Stałam jak skamieniała. Odszedł. Ja pozbierałam co się dało. Żandarm zawrócił, szwargocząc coś o polskich świniach i chciał mi te resztki wyrwać, ale wszystko było umazane kremem, więc tylko spojrzął ze wstrętem i odszedł. A ja, przestraszona, ale i zadowolona, że się udało, zaniiosłam co trzeba, gdzie trzeba. Dostałam pochwałę!

W maju 1944 roku Babcia raptem zniknęła[†]. Dopiero w czasie Powstania dowiedziałam się, że przyleciał po niego samolot i zabrał go do Londynu. Potem organizował bazę w Brindisi. Nastąpił gorączkowy okres przygotowań do Powstania. Nowego szefa nie poznałam, gdyż rzadko pojawiał się u nas. Trzymał się raczej KG AK, a nie swoich żołnierzy. Jego zastępcą był kapitan, a później major Zbrowski (Janusz), którego wszyscy uważaliśmy za właściwego szefa. Bieganie z korespondencją przybrało na częstotliwości. Opracowywano szczegółowy plan naszego działania w czasie Powstania. U nas w domu miało stacjonować kierownictwo Komórki Zrzutów, a więc mjr Zbrowski, jego zastępca Witold lub Róg (mjr Zygmunt Milewicz, cichociemny zrzucony do Polski z 3 na 4 marca 1942 roku), ppor. Roman (Andrzej Szenajch), łączniczki – Iza (moja Mama), Basia (chyba B. Kruszyńska), Marysia (Janina Godlewska, później Micińska), kto jeszcze nie pamiętam, no i ja. Miejscem zrzutów miał być teren tzw. Małego Getta, które po Powstaniu Żydowskim liczyło coraz mniej mieszkańców (byli to głównie ludzie młodzi, używani przez Niemców do różnych prac porządkowych w mieście), a później

[†] Kiedyś w żartach nazwałam pułkownika Malewicza Babcią i z czasem stało się to jego dodatkowym pseudonimem - dla kilku osób z najbliższego otoczenia. Pułkownik przechodził wówczas zapalenie ucha. Kilka dni chodził z uszami zawiniętymi watą i szalikiem i wyglądał jak... babcia.

zostało całkowicie zlikwidowane i zburzone poprzez wysadzanie poszczególnych domów. Pod ulicą Ceglana na wysokości domu nr 10 był podkop, przez który uciekał kto mógł. Mieszkańcy kamienic po stronie aryjskiej, tworzących narożnik ulic Waliców i Ceglanej, aktywnie pomagali tym ludziom w ukryciu się, czy ewentualnym przedostaniu się na wieś. Obszar tego getta przekształcony został w kupę gruzu otoczoną murem. Tam właśnie postanowiono urządzić główne zrzutowisko dla naszego obszaru. Część oddziału miała być zakwaterowana na ul. Krochmalnej i w najbliższej okolicy. Stołówka miała być u nas. Gromadzono zapasy: kasze, konserwy, węgiel itp. Plan wydawał się idealny. Powstanie miało przecież trwać tylko kilka dni!

Nastaly dni wzmożonych zrzutów wokół Warszawy, nasiliły się przeróżne komunikaty nasłuchu radiowego. Atmosfera z godziny na godzinę robiła się gorętsza. W dniu wybuchu Powstania zbiórka kierownictwa była wyznaczona u nas na godz. 15.00. Panowie Zbrowski, Milewicz, Szenajch byli już wcześniej. Ruch był ogromny: biegały łączniczki, przychodziło wiele nieznanymi mi osób. Ja, stojąc w bramie, zagląających do niej niepewnie pytałam: – do wujka Janusza? Zaprowadzę. I prowadziłam. Rozdano nam biało-czerwone opaski, furażerki z orzełkiem – prawdziwym polskim, w koronie (mam go do dziś). Jakaż to była uroczysta chwila! Nawet panowie mieli łzy w oczach, nie mówiąc o nas, dziewczętach. Nareszcie byliśmy prawdziwym wojskiem, nie musieliśmy się ukrywać. W całej kamienicy panował ogromny entuzjazm. Oddział liniowy, który objął ten odcinek, wydawał lokatorom różne polecenia, wykonywane natychmiast i z radością. Przed naszym domem wzniesiono barykadę. Lokatorzy wyrzucali do jej budowy meble i różne sprzęty, kołdry, poduszki. U nas otworzono skrytkę. Panowie zaopatrzyli się w pistolety.

Od 17-tej słychać już było strzelaninę. Jeszcze od nas dość daleko, ale na rogu Żelaznej i Chłodnej był bunkier żandarmerii niemieckiej i sądziliśmy, że to głównie stamtąd. Plany (tak dokładnie opracowywane) naszego powstańczego działania runęły w dniu 3 sierpnia, gdy zgodnie z informacją radiową poszliśmy na teren zrzutowiska w Małym Getcie. Rozciągnęliśmy płótna sygnalizacyjne, nadleciały samoloty i... zostaliśmy nie wiadomo skąd (mimo uprzedniego sprawdzenia terenu) obsypani gradem kul. Niemców tam nie było. Kto strzelał? Zrzutów nie mogliśmy zebrać, wzięli inni, prawdopodobnie ci co strzelali. To samo powtórzyło się w nocy. Później na tym terenie pojawił się także ostrzał niemiecki*.

Mimo ciągłej strzelaniny, bombardowań i ryczących krów (niemieckie katusze), nastrój był wspaniały. Lokatorzy zbudowali barykadę w poprzek ulicy, mniej więcej na wysokości naszej bramy. Obronę ulic Waliców i Ceglanej podjął oddział młodzieżowych chłopców. Służby wartownicze objęły ochroną ogromne magazyny wódek, win, likierów itp. (był to obszar vis a vis nas, czyli nieparzysta strona ulicy Waliców, część ulicy Grzybowskiej).

8 sierpnia usłyszeliśmy w pewnym momencie daleki ryk krowy (gdy ryk był słaby, wiadomo było, że pociski upadną blisko, gdy był głośny, wyraźny, nikt się nie bał, bo wiadomo było, że pociski polecą dalej, nie na nas). W jednej chwili wszystko zakotłowało się, zrobiło się zupełnie ciemno, a następnie rozszedł się okropnie gryzący, szczypiący w oczy dym. Zniesiony został cały front naszego domu. Pierwsze podwórko do I piętra zasypane było gruzami. Druga brama prowadząca na nasze podwórko też prawie cała była zasypana gruzem. Przy pierwszej detonacji schroniliśmy się w przedpokoju. Wszystko wokół sypało się, silny podmuch powietrza wyrwał okna, leciały szyby i do tego ta ciemność i ten duszący pył! To było pierwsze zetknięcie z czymś takim. Po kilku dniach wszystko to spowszedniało. Gdy po pewnym czasie uspokoiło się i dym zaczął opadać, wyszliśmy rozejrzeć się. Widok był koszmarny. W bramie, w gruzach, znalazłam mojego kotka, którego widocznie pęd powietrza wyrzucił przez okno. Był już martwy. Na pierwszym podwórku razem z gruzem wymieszane były meble i inne sprzęty domowe, wypchnięte z mieszkań w czasie wybuchu. Fruwały jakieś dolary, marki i inne walory. Nikt nie zwracał na nie uwagi. Ważne było uratowanie życia i dla większości do końca pozostało ono największą wartością.

Z uwagi na brak dalszych możliwości organizowania zrzutowisk na terenie Małego Getta, zniszczenia naszej kwatery i nacierających Niemców, Zapadła decyzja ewakuacji wszystkich ocalałych lokatorów do budynku PKO (kompleks Marszałkowska-Swiętokrzyska-Jasna). Nastąpiła ona nocą z 8 na 9 sierpnia.

Obronę opuszczanego przez nas kompleksu domów miał przejąć jeden z oddziałów liniowych. Dokumenty i pieniądze, znajdujące się w skrytce naszego mieszkania, rozdzielono między łączniczki. Miałyśmy je mieć pod swoją opieką do otrzymania innego rozkazu. Mnie powierzono jakieś pieniądze.

* Gdy nastał nowy dowódca, ze względu na mój wiek (wtedy 12 lat) kazał skreślić mnie ze stanu osobowego naszej grupy i odsunąć od wszelkiej pracy. Wszyscy byli tym oburzeni. Nie przepadalimy za nowym szefem. Nie było porównania między nim a Babcią. Polecenia wykonywałam nadal, ale poza jego wiedzą. Mjr Zbrowski załatwił poza jego plecami w KG (konspiracja nieraz pozwalała na takie działania), aby ze względu na moją dotychczasową działalność uznać ten wyjątek. Zgodę taką uzyskał i w maju 1944 roku składałam drugą przysięgę, jako łączniczka naszej komórki.

Miałam na sobie rodzaj kaftanika z podwójnego materiału, wewnątrz którego je nosiłam. Po zakwaterowaniu nas w PKO całość gotówki została przekazana KG.

Wracam do ewakuacji. Jak wspomniałam, w nocy z 8 na 9 sierpnia, po zbombardowaniu naszego (i nie tylko) domu część grupy wyznaczono do sygnalizowanego na tę noc zrzutu w Małym Getcie, a część miała pomóc przy ewakuacji. Przeprowadzką objęto nie tylko nasz dom tj. Waliców 14, ale także numery 10, 12 i jeden dom przy ul. Ceglanej. Najgorszy był ten odcinek Ceglanej, gdzie trzeba było przebiec na drugą stronę ulicy, zasypanej szkłem, płatami papy z dachów, gruzem itp. Do przejścia było jakieś 100-150 metrów. Noc była pogodna. Całe szczęście, że księżyc od czasu do czasu zasłaniały chmury. Niemcy znajdowali się już wtedy za murem magazynów Meinla i strzelali do wszystkiego, co się ruszyło oraz na najmniejszy odgłos. Ludzie byli spanikowani, jeszcze w szoku po przeżytych bombardowaniu, trudno im było zrozumieć, że należy zachować ciszę i maksymalną ostrożność i wykorzystywać te momenty, gdy księżyc chował się za chmurami. Przeprowadzaliśmy małymi grupkami po kilka osób. Obracaliśmy wiele razy, prawie do świtu. Niestety byli ranni, a także zabici. Potem przyszedł rozkaz udania się na kwatery. Resztę ewakuacji mieli przeprowadzić chłopcy, którzy mieli tego terenu bronić. Ludność cywilną rozmieszczono głównie po piwnicach w rejonie ulic: Pańska, Sienna, Śliska.

Zakwaterowani zostaliśmy w PKO (obecnie Poczta Główna) na parterze w kasach tzw. sali operacyjnej. My, tzn. Mama, Rak (Miecio Kochanowicz) i ja, otrzymaliśmy do spania taką właśnie komórkę-kasę. Ułożyliśmy się na jej podłodze. Byliśmy okropnie zmordowani. Zasnęliśmy natychmiast.

Na drugi dzień koledzy, którzy poprzedniego dnia mieli odbierać zrzuty opowiadali, że początkowo wszystko szło zgodnie z planem. Teren odpowiednio przygotowano (duża płócienna litera T). Samoloty nadleciały, pojemniki częściowo spadły na teren oznakowany i te zostały zebrane i przekazane grupie oczekującej. Niestety, część spadła na tzw. ziemię niczyją i znalazła się pod silnym ostrzałem. Strzelali nasi, aby nie wzięli Niemcy, strzelali Niemcy, aby nie wzięli nasi. Ofiary były po obydwu stronach, a pojemniki spokojnie leżały. Takich sytuacji w czasie Powstania było wiele.

Przez następne 2-3 dni, my łączniczki, likwidowałyśmy aptekę na Śliskiej. Była to apteka magazynująca leki ze zrzutów. Stamtąd rozprawdzano je dalej. Nie wiem, od którego roku tam istniała. Apteka to zresztą duże słowo, ale tak to nazywaliśmy. Był to duży pokój na ostatnim piętrze pewnego mieszkania w domu. przechodnim, tzn. można było tam wejść na podwórko zarówno z ul. Siennej jak i Śliskiej. Takich domów w Warszawie było wiele i w czasie okupacji bywały bardzo przydatne. Leków było bardzo dużo, leżały w różnych opakowaniach na półkach i na podłodze. Pokój z zewnątrz był zamaskowany, wchodziło się do niego przez szafę. Mieszkaniem opiekowała się pewna pani, którą lokatorzy posądzali o współpracę z Niemcami i granatową policją, gdyż paki z lekami przynosili często granatowi policjanci (jak Miecio) lub nasi przebrani za Niemców. Po wybuchu Powstania bardzo potrzebna była tej pani nasza szybka pomoc, gdyż w przeciwnym razie lokatorzy mogliby na niej dokonać samosądu. Zdarzały się takie przypadki, byliśmy przecież przepelnieni nienawiścią za to ciągle ponizanie nas, mordowanie naszych najbliższych itp. Mjr Janusz proponował jej przyjęcie do naszej grupy na czas Powstania, ale odmówiła. Zgodnie z życzeniem przeprowadzona została do rodziny w innej dzielnicy.

Leki przenosiłyśmy do PKO. Brały w tym udział oprócz Mamy i mnie Basia, Marysia oraz Irena. Innych nie pamiętam. Basia i Marysia były łączniczkami naszej grupy, a Irena łączniczką powiatu warszawskiego, który pieszo (przeważnie) zeszła wzdłuż i wszerz. Właśnie przysłała do Warszawy z kolejnym meldunkiem o zrzutach i tu zaskoczyło ją Powstanie. Była w naszej grupie, mało kto ją jednak znał, czuła się trochę obco. Bliższy kontakt usiłowała nawiązać z nią Malinka i moja Mama, ale ona tęskniła do swoich, czyli do wsi i lasów, gdzie miała przyjaciół. Poza tym była nieco starsza niż większość dziewczyn i niezmiernie poważna. Została z nami do ostatniego dnia i wyszła razem z nami. W Ursusie rozdzielono nas i spotkałam ją dopiero w połowie lat 90-tych, gdy była już bardzo chora.

Z przenoszonych leków otrzymaliśmy do użytku wspaniały angielski „Pervitin”. Po jego zażyciu nie chciało się ani jeść, ani spać. Z jedzeniem było krucho. Przez pierwszych kilka dni naszego kwatrowania w PKO chodziliśmy na obiady do jednej z „ciotek” na ul. Sienkiewicza czy Moniuszki (nie pamiętam), tuż przy Placu Napoleona. Trwało to dopóki dom ten nie rozleciał się od bomb. Zapasy, które były u nas na Waliców, przenieśliśmy tylko w niewielkiej części do „ciotki”. Reszta została dla chłopców broniących tamtego odcinka. Dojście z PKO na Waliców, szczególnie na odcinku Małego Getta, stało się bardzo niebezpieczne: trzeba było przejść przez otwarty teren zbombardowanych domów pod bardzo silnym ostrzałem. Niemcy mieli przechodzących tamtędy jak na dłoni. Kierownictwo uznało, że ginąć dla żarcia nie ma sensu. I słusznie. Zapasy u „ciotki” (chyba miała na imię Janka, nie jestem pewna) kurczyły się jednak szybko, więc poza wiedzą szefów staraliśmy się tam „ochotniczo” dostać. Bez większych rezultatów. Pomijając niebezpieczne dojście – chłopcy, którzy tam zostali, też przecież nie byli bez apetytu.

Z tego okresu zapamiętałam pewne zdarzenie. Poszłyśmy we dwie z Mamą sprawdzić, czy w naszym mieszkaniu nie zostały jeszcze gdzieś jakieś dokumenty. Ewakuacja odbywała się przecież w nocy, bez normalnego światła i w dużym pośpiechu. Nie wiadomo było, czy coś się łąda moment na nas nie zawali. Okazało się, że wszystko zostało zabrane. Nasze pojawienie się wywołało duże zdumienie: od kilkudziesięciu godzin uważano to przejście za niemożliwe do pokonania. A nam się udało! W czasie Powstania zarówno Mamie, jak i mnie wiele razy tak „udawało się” przejść, gdzie inni ginęli. Wierzyłyśmy, że czuwa nad nami duch Taty i chyba tak było.

Chłopcy z tego odcinka pokazali nam trochę bezpieczniejszą drogę powrotną. Trzeba było iść przez piwnicę naszego domu do piwnicy domu przy ul. Ceglanej, następnie przez piwnice magazynów Meinla (nie było już tam Niemców), wyjść na zewnątrz i przebiec szybko (ostrzał) ul. Ceglana do pewnej bramy. Było to o tyle bezpieczniejsze, że wiadomo było, z której strony jest ostrzał, a przez getto kulki latały ze wszystkich stron.

Magazyny Meinla stały w płomieniach. W piwnicach było bardzo gorąco. Wyszłyśmy na płonące podwórko. Na środku siedziała na walizce staruszka. Jak się okazało niewidoma. Skąd się tam wzięła (było już po ewakuacji cywilów) nie wiem do dziś. Zapytałyśmy dlaczego tu siedzi, przecież wokół wszystko płonie.

– Czekam na syna. Powiedział, że mam tu na niego czekać.

Początkowo myślałyśmy, że ją zostawił naumyślnie, a sam uciekł. Zdarzały się niestety przypadki pozostawiania starych rodziców na łasce losu. Tłumaczyłyśmy jej, że nie może tu zostać, że pożar, że w każdej chwili mogą wrócić Niemcy. Nic do niej nie przemawiało. Zostawiłyśmy ją, aby po przedostaniu się na drugą stronę ulicy powiadomić kogoś, by się nią zajęto. Na jezdni leżały zwłoki jakiegoś młodego człowieka. Pewnie był to jej syn.

Część naszej grupy po przeprowadzce do PKO zajęta była rozkładaniem, głównie na dachach ulic Siennej i Śliskiej, sygnałów na zrzuty. W dzień rozkładano białe, płócienne pasy (litera T), nocą sygnalizowano latarkami. Na dzienne sygnały mnie nie wyznaczano, było to bardzo niebezpieczne i chodzili przeważnie mężczyźni. Nocą byłam na Siennej kilka razy. Gdy słychać było szum samolotów (ich rodzaj wszyscy rozróżnialiśmy bezbłędnie słuchowo), sygnalizowanych wcześniej radiem, dawaliśmy znaki latarkami. Momentalnie następował deszcz ostrzału z broni maszynowej. Były to śliczne smugi kolorowych punkcików, które chciałam złapać. Koledzy wytłumaczyli mi, że to kule i gdy lecą należy się kryć, gdzie się uda... a nie łapać. Mimo wszystko byłam przecież dzieckiem i stąd te głupie pomysły. Śmiali się ze mnie wszyscy przez dobre kilka dni.

Przygotowywanie zrzutowisk było coraz trudniejsze i bezcelowe. Samoloty nadlatywały, ale zrzuty z dużej wysokości nie miały szans trafienia w oznaczone miejsce, poza tym w miarę trwania Powstania Niemcy opanowywali coraz większe tereny. Było tak, że domy „w kratkę” należały do nas i do Niemców. Sytuacja zmieniała się z godziny na godzinę. Także dostrzeżenie przez wysoko lecących pilotów naszej nikłej sygnalizacji w morzu ognia i dymu stało się zupełnie nierealne.

Widząc bezcelowość naszych wysiłków kilka osób z naszej grupy odeszło do oddziałów liniowych. Byli to przecież oficerowie o dużym doświadczeniu bojowym, chcieli walczyć z bronią w ręku. Tak odszedł od nas zastępca majora Janusza – mjr Zygmunt Milewicz ps. Róg. Mówiono, że poszedł walczyć na Czerniaków i zginął.

Dopiero w 1985 roku dowiedziałam się, że właśnie kilka tygodni wcześniej zmarł w Londynie. W czasie Powstania stracił nogę. Po wojnie w Londynie opiekowała się nim córka. Ci co pozostali na wszelki wypadek mieli pełnić rolę dyżurnych. Usiłowano jeszcze co kilka dni organizować sygnalizację zrzutową.

Z większych zrzutów pamiętam ten, o którym pisałam, tj. 8/9 sierpnia, z 10/11 września, no i ogromny, dzienny zrzut w południe 18 września. Ten ostatni wszyscy przyjęli entuzjastycznie. Ludzie wybiegali na ulice, podwórka, balkony. Nie zważali na ostrzał, który zresztą nie był tak intensywny, ponieważ zaskoczeni Niemcy sądzili, że to desant i strzelali do pojemników (były podłużne i leciały na spadochronach). My wiedzieliśmy, że to nie desant. Serce kroilo się, jak widzieliśmy, że większość spada do Niemców. Zrzut był dokonany z dużej wysokości i wiatr roznosił pojemniki po całym mieście.

Obok „naszych” zrzutów w pewnym momencie Powstania pojawiły się też inne. Zaczęły latać samoloty radzieckie z tzw. pomocą dla ludności Warszawy. Używano do tego tzw. kukurużek (dwupłatowce, mogące latać nisko, poza zasięgiem artylerii przeciwlotniczej). Było to coś bardzo podłego. Otóż samoloty te zrzucały mąkę i cukier w workach... papierosowych! Wszystko rozsypywało się i mieszało z gruzem. Karabiny zrzucano w jednym miejscu, a amunicję w zupełnie innym. Taka to była pomoc, o której dziś jeszcze czyta się, że była. Była, a jakże, tylko tak zorganizowana, aby przypadkiem nikt nie mógł z niej skorzystać.

W czasie Powstania poznałam kilka nowych osób. Byli to: M. Belerski ps. Tada – rudy Żyd, który w czasie okupacji w mundurze niemieckiego żandarma kursował na różnych trasach, oddając nieocenione usługi jako kurier, państwo Berezowscy: Żmudzin (p. Jarek), jego siostra (chyba Wanda) i żona Zosia. W naszym Wydziale, ze względu na bezpieczeństwo osób, unikano zatrudniania

małżeństw, więc ogólnie mówiło się, że Zosia to siostra. Pan Jarek był bardzo przystojny i kochały się w nim prawie wszystkie łączniczki. Chcąc pozyskać jego względy (był bardzo nieprzystępny) starały się być miłe dla „siostry”, czyli pani Zosi. Nie było to dla niej na pewno miłe, ale jak konspiracja to konspiracja. Był też pan Tadeusz Kocemba, ps. Skiba, pan Miecio Kochanowicz ps. Rak, Marta Korotyńska ps. Malinka, pan Jan Kotus ps. Korwin, Z. Sikorski ps. Kula (zginął od strzału snajpera pod sam koniec Powstania). Był jeszcze z nami pan A. Stromenger ps. Lebera, którego Powstanie zaskoczyło w Warszawie. Jako kolejarz przewoził dla naszej komórki – i nie tylko – różne rzeczy po kraju, a także na terenie Rzeszy. Był z Bydgoszczy i znał dobrze język niemiecki. Obok wymienionych osób był także z nami Broniów (W. Orliński), pełniący w czasie okupacji rolę prokuratora przy naszej grupie (z uwagi na jego osobisty wdzięk i humor za nim też przepadały nasze dziewczęta). Pamiętam go doskonale: w bereciku, z wąsikami, rumieńcami, zawsze uśmiechnięty. Po wojnie zamieszkał w Hamburgu. Został adwokatem i wielkim działaczem społecznym na rzecz kombatantów. Nadal jest bardzo aktywny. Był z nami jeszcze Antoni – księgarz z ul. Żelaznej, do którego biegałam w czasie okupacji. Po wojnie spotkałyśmy go w Sopocie. Przynosił nam ulotki, które roznosiłyśmy nocą do skrzynek na listy w różnych domach. Straciłyśmy z nim kontakt, gdy zostałyśmy zwolnione z przysięgi (chyba 1945 roku). Było jeszcze wiele innych osób, ale niestety już ich dokładnie nie pamiętam.

Wracając do powstania. Celem wykonywania zleconych mi zadań łączniczki, otrzymałam specjalną przepustkę, na której podstawie wszędzie byłam w pierwszej kolejności przepuszczana. Uszyto nam też mundury, przede wszystkim kobietom. Letnie sukienki, które miałyśmy z domu rozlatywały się na skutek codziennego używania i braku prania (nie było wody). Stale byłyśmy przecież w ruchu: bieganie piwnicami, pod barykadami. Kiedy nie było jeszcze przejścia podziemnego pod Alejami Jerozolimskimi, trzeba było czołgać się po piachu. Mundur składał się z długich spodni, na dole zapinanych i bluzy z długimi rękawami też zapinanymi przy nadgarstkach. Z przodu na bluzie były dwie kieszenie. Kolor ciemnoszary (nie brudzący) w drobne, czarne prążki. No i biało-czerwona opaska na ramieniu z napisem AK. Były jeszcze furażerki z orzelkiem. Furażerki ciągle spadały nam z głów, więc przestałyśmy je nosić. Orzełek był przypięty do bluzy.

W czasie kwaterowania w PKO najwięcej czasu zabierały ciągle przeprawy przez Aleje Jerozolimskie. Barykada była zbudowana z worków z piaskiem i Niemcy ciągle ją rozwalali. Biedni saperzy w miarę możliwości (głównie w nocy) uzupełniali te worki. Czasem jednak trzeba było czołgać się w płytkim rowku piaskowym, wydrążonym w rozwalonych workach. Zawsze był silny ostrzał. Przechodziłam tamtędy często, czasem dwa razy dziennie, także w nocy. Przenosiłam drobne karteczki pod różne adresy. Byłam przekonana, że to jakieś meldunki – jak dawniej. Owszem, jak dawniej, ale tylko w dwa miejsca: do tzw. Małej Pasty (ul. Piusa XII) i do domu przy ul. Ks. Skorupki. Resztę stanowiły prawdopodobnie wiadomości niektórych osób do ich rodzin, do przynoszenia których wykorzystywały mnie. Zawsze jednak wszelkie polecenia odbycia drogi otrzymywałam od majora Janusza. Podróżowało się po mieście prawie wyłącznie piwnicami. Przejścia były specjalnie pomyślane, aby możliwie jak najkrótszą drogą dostać się w określone miejsce. Znałam te przejścia „na ślepo”, nieraz służąc za przewodnika. Od czasu do czasu wychodziło się na powierzchnię, by przebiec pod barykadą. Ruch przeważnie regulowali tu saperzy. Na otwartej przestrzeni był zawsze silny ostrzał i przebieganie w ustalonym porządku i miejscu dawało szansę ocalenia życia. I ten ciągły huk! Sypiący się gruz, gorąco od palących się domów! Grube Berty (pociski z dział kolejowych) latały mniej więcej co 15 minut i między jednym a drugim świstem można było przebiec znaczną odległość. Najtrudniej było przewidzieć, gdzie upadnie bomba, choć słychać było pikowanie samolotów. No i snajperzy! Nigdy nie było wiadomo skąd, kiedy i gdzie strzelą. Przeżycie każdego dnia i nocy było wielkim szczęściem. Snajperów (przeważnie byli to folksdojczycy ukryci gdzieś na strychu) gdzie tylko się dało wyłapywali nas. Rozstrzeliwano ich na miejscu. Gorzej było, gdy strzelali z domu całkowicie opanowanego przez Niemców.

Tak płynęły dni i noce: bieranina, bieranina, trochę snu. W wolnych chwilach pomagałam w szpitalu. Nigdy tych chwil nie zapomnę: tak można sobie wyobrazić piekło! W PKO były 3 kondygnacje pod ziemią (dawne skarbcce). Najbliżej parteru było coś na kształt izby przyjęć i bloku operacyjnego. Sanitariusze i wolontariusze bez przerwy znosili rannych żołnierzy i cywilów. I to jak ciężko rannych! Widok koszmarny. Jęczące mięso! Chirurdzy operowali złani potem (brak wentylacji), przy płomykach karbidówek i świec gasnących z braku tlenu, w potwornym zaduchu (miało tam się gromadzić złoto, a nie ludzi). Do tego brak wody, środków opatrunkowych, przeciwbólowych itp. Dziś już nikt nie jest w stanie tego sobie wyobrazić. Zgłaszałam się ochotniczo do pomocy. Ranni leżeli wszędzie. Lżej ranni żołnierze, po jakim takim opatrzeniu rwali się do walki. Wracali do swoich oddziałów (o ile jeszcze istniały) lub tam, gdzie byli najpotrzebniejsi, ale ciężiej... Zwiłżałam im wilgotną szmatką usta (wodę należało oszczędzać). Kubek wody musiał starczyć dla bardzo wielu. Leżeli na wszystkich trzech kondygnacjach. Najniżej można było poruszać się tylko w pozycji kucznej lub na czworakach, między grubymi słupami – fundamentami gmachu. Niektórzy wzywali Mamy, inni wyrwali się w gorączce do akcji, jeszcze inni cichutko oczekiwali śmierci. Byli tacy młodziutcy.

Umieralność była bardzo duża. Z braku warunków i możliwości masowo obcinano ręce i nogi, aby uchronić od gangreny, uratować życie. Zaszycano brzuchy, bandażowano głowy, twarze.

Pewnego dnia, gdy z jakimś poleceniem miałam się udać na drugą stronę Alej, ewakuowano akurat jakiś inny szpital. Nie było jeszcze w tym czasie drugiego kierunku połączenia w pobliżu ul. Kruczej. Istniało tylko przejście „piaskowe”, bliżej ul. Marszałkowskiej, które już wcześniej opisałam. Była noc. Ruch – poza transportem rannych – był zatrzymany, a ja musiałam przekazać na drugą stronę pilną informację. Nie chciano mnie przepuścić, mimo mojej przepustki. Trafił się jeden z poruczników czuwających nad sprawnym ruchem, który mnie pamiętał. Bo przecież przechodziłam tamtędy często. Powiedział: „Jak musisz to musisz”. Damy ci rannego do przeprowadzenia i w ten sposób dostaniesz się na drugą stronę. Miałam pilotować młodego żołnierza z całkowicie zabandażowaną głową, łącznie z oczami. Uprzedzono go, aby pod żadnym pozorem nie odzywał się (ze względu na bliskość Niemców), dopóki nie otrzyma znaku, że przeszliśmy. Ze względu na płytkie schronienie, jakie dawały porozwalane worki z piaskiemczołgaliśmy się. Wzięłam jego plecak czy chlebak (coś niedużego) i popychałam to przed sobą. On trzymał mnie za nogę i posuwał się równomiernie do jej ruchów. Byliśmy mniej więcej w jednej trzeciej przejścia, gdy świszczącym szeptem zapytał: już? Poleciała seria z karabinu maszynowego, ale udało nam się – poszło w piasek! Gdy byliśmy kawałek za środkiem ulicy, natrafiłam na rozsypane worki, tworzące przede mną jakby nasyp. Zatrzymałam się i zaczęłam delikatnie go rozgniatać, by przeczłochać się w rozgarniętym rowku i aby nam nie ustrzelono pup lub pleców. Rozgarniałam ten piach powolutku i po cichutku, ale czołganie uległo znacznemu zwolnieniu. A on na cały głos: już przeszliśmy? Rozpętała się wściekła strzelanina. Przywarłam do piachu i po chwili ruszyliśmy dalej. Stał się bardzo ciężki, nic mi nie pomagał, ale ciągnęłam. Wreszcie dobrnęliśmy na drugą stronę. Żołnierze chwycili mnie pod pachy i postawili. Ale on ciągle trzymał moją nogę. Po chwili ktoś powiedział: „przeprowadziłaś trupa mała”. Zrobiło mi się bardzo smutno, przecież podjęłam się go przeprowadzić! Wytłumaczono mi, że nie było w tym wypadku mojej winy. Może i tak. Staralam się. Dostałam całą serię, a ja nawet draśnięcia! Tak to było... Szanse przeżycia z dnia na dzień mniejsze.

Gdy czasami szliśmy razem z Mamą i trzeba było przebiec odkryte pole ostrzału, zawsze kazała mi iść pierwszej. Zwykle pierwszemu udawało się przebiec, wstrzeliwali się na ogół w drugą lub trzecią osobę. Mama liczyła się z tym, że kiedyś padnę na jej oczach, ale nie chciała, aby było odwrotnie. Udało się nam obu, obie przeżyliśmy całe Powstanie!

Gdy padła PASTA wziętych do niewoli gestapowców umieszczono w holu PKO. Siedzieli na podłodze po turecku z rękami założonymi na karku. Pilnowali ich młodzi wartownicy (dumni z powierzonego im zadania). Dla nas też była to duża satysfakcja widzieć ich wreszcie pokonanych i nareszcie niegroźnych. Niestety, jednemu czy dwóm udało się uciec. Nie pamiętam już w jaki sposób. Powiadomili oni swoich, że w PKO i w Prudentialu (hotel Warszawa) ma siedzibę Komenda Główna AK. Rozpętało się wtedy piekło: bombardowano nas wszelkiego rodzaju pociskami z Grubą Bertą na czele. Świętokrzyska na odcinku od Marszałkowskiej do Placu Napoleona była cała w ogniu. Wtedy podjęto następną decyzję o naszej ewakuacji na ul. Chmielną 24 (nie jestem pewna numeru).

Znowu zaczęła się przeprowadzka. Przenoszenie, już nie pamiętam czego, ale wiele razy dziennie, w tym niesamowitym upale. Ciągle coś leciało na głowę i do tego nieustające bombardowania. Jedna z bomb trafiła w kanał od windy, przeleciała przez wszystkie piętra i rozerwała się dopiero w najniższym podziemiu, gdzie leżeli ciężko ranni (pewna część tego pomieszczenia była zajmowana przez dowództwo AK). Ja na szczęście w tym czasie byłam poza gmachem. Gdy przyszłam było już po wszystkim. Pomagałam przy usuwaniu poszarpanych trupów. Nigdy nie zapomnę tego widoku. Byli tam ranni, których znałam, którym pomagałam przetrzymać różne ciężkie chwile. Ci też zginęli. Jeden – pamiętam – z amputowaną nogą rwał się do swojego oddziału. Mówił, że przecież to nic, że nie może chodzić, przecież do strzelania może leżeć. Denerwował się, że przestali go odwiedzać. Mówił, że pewnie jest tam bardzo gorąco i on musi wrócić im pomagać. Nie wiedział, że wszyscy zginęli kilka dni wcześniej, właśnie gdy przestali przychodzić. Ten biedak też zginął w tych podziemiach.

Mówiło się u nas, że duża liczba niewypałów pocisków to skutek „pracy” Polaków wywiezionych na roboty do niemieckich fabryk. Było to dla nas dużą pociechą, że ktoś gdzieś o nas myśli. Byliśmy przecież tacy samotni. Londyn nadawał ciągle pieśń: „Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej...” Jakież to było przerażająco dosłowne! „Trzymajcie się! Podziwiał was cały świat!” – nadawano... Trzymaliśmy się dokąd się dało.

Przypomniała mi się pewna historia z niewypałem. W czasie przeprowadzki naszego oddziału z PKO na Chmielną kilkanaście razy dziennie nosiliśmy różne rzeczy (było nas na ogół trzy: Mama, Marysia i ja). Pewnego razu wracałyśmy z Chmielnej do PKO. Dochodziłyśmy do kupy gruzu, leżącej tuż przed wejściem bocznym (od ul. Jasnej), gdy usłyszałyśmy gwizd lotu Grubej Berty. Ja szłam pierwsza, one za mną. Przycupnęłam przy tej kupie gruzu, one padły na ziemię tam, gdzie stały. Gwizd, pęd powietrza przycisnął mnie do podłoża, sypały się kawałki gruzu i... cisza. Pomyślałam sobie: jak cicho jest po śmierci. Potem okazało się, że byłam po prostu ogłuszona pędem powietrza. Cisza trwała. Otworzyłam oczy. Żyję! Po następnej chwili rozejrzałam się za Mamą i Marysią. Podnosiły się z ziemi, otrzępywały

z pyłu, a więc też żyły. Chciałam poderwać się i pobiec do nich, ale byłam czymś przygnieciona, a poza tym od strony wejścia do PKO dawano mi znaki, aby się nie ruszać. Ktoś do mnie podszedł i pomógł mi wydostać się, ciągle dając znaki, by działać ostrożnie. Nie bardzo wiedziałam dlaczego i po co ta ostrożność. Okazało się, że tuż obok mnie wbity w kupę gruzu wystawał ogon Berty. Niewypał! Obawiano się, że pocisk może wybuchnąć, ale nic takiego się nie stało. Ten ogon sterczał tam jeszcze przez wiele dni.

Po naszej przeprowadzce na Chmielną jak zwykle biegałam na drugą stronę Alej. Przejście przez Aleje Jerozolimskie było już teraz znacznie ułatwione: były dwa tunele jednokierunkowe – tam i z powrotem. Czasem przepuszczający mnie saperzy prosili, aby tu czy tam „podskoczyć” i zanieść ich rodzinie wiadomość, że u nich wszystko jest OK. Podejmowałam się tego chętnie, polubiłam tę moją „bieganinę”. Z tuneli, o których wspominałam, wbiegało się do piwnic wielkich, wypalonych kamienic. W miarę upływu czasu w piwnicach tych było coraz goręcej. To opadające zgłiszczka, ciągle jeszcze tłące się, dawały to gorąco. Było to bardzo nieprzyjemne. Z gorąca trudno było oddychać. Przebiegało się tamtędy szybko, jak to tylko było możliwe.

Na Chmielnej pod nr 24 (?), gdzie kwaterowaliśmy po ewakuacji z PKO, po stronie nieparzystej na odcinku Bracka-Nowy Świat, wszystkie domy były w polskich rękach. Po stronie parzystej od rogu Szpitalnej do domu, w którym przebywaliśmy, była strona nasza, potem 2-3 domy niemieckie, a następnie do Nowego Świata – niemieckie. Pewnego dnia, a właściwie w nocy, spaliliśmy pokotem w piwnicy, w pobliżu dziury – przejścia do następnego domu (spało się w kompletnym ubraniu, na jakichś przypadkowych kocach. W czasie Powstania ani razu nie było okazji do rozebrania się i umycia). Ja leżałam między dwoma naszymi kolegami, druga od dziury-przejścia. Żołnierze bronionego odcinka wycofali się – o czym nie wiedzieliśmy. Była to nasza ostatnia noc w tym domu, przed kolejną ewakuacją, tym razem na drugą stronę Alej. Miałam lekki sen. W pewnej chwili posłyszałam jakiś szmer przy dziurze. Pomyślałam, że to pewnie szczur lub zabłąkany kot. Otworzyłam oczy: z dziury wychylał się Niemiec w hełmie i z karabinem w ręku! Byłam przerażona, ale on chyba też (pewnie nikogo nie spodziewał się zobaczyć), bo natychmiast wycofał się. Obudziłam kolegów. Po cichutku udali się za tym Niemcem. Po dłuższej chwili wrócili i powiedzieli, że przeszli piwnice trzech kolejnych domów i nie spotkali żywego ducha. Pewnie ci się przyśniło – powiedzieli i położyli się spać. Dopiero w kilka dni później, gdy byliśmy już na nowej kwaterze, jeden z kolegów przyznał się, że też widział tego Niemca.

Kilka słów o tym jak żyliśmy. Otóż w PKO chodziliśmy do jednej z okupacyjnych „ciotek” (już o tym pisałam). Chłopcy znosili tam różne wiktuały (z Waliców, a także z okolicznych, rozbitych, nadpalonych, zbombardowanych sklepów), z których ta pani przy pomocy Mamy i innych łączniczek pichciła obiady. Potem ten dom został zburzony, urwały się schody, a my zostaliśmy w przedpokoju. Jakoś udało się nas stamtąd ściągnąć, ale gotować już nie było gdzie. Na Chmielnej każdy już żywił się na własną rękę. Był w pobliżu duży sklep z magazynem w piwnicy Braci Pakulskich. Były magazyny J. Meinla, dostępne częściowo, bo od ulicy Nowy Świat – Niemcy, a od podwórka nasi. Jadło się co się trafiło, no i był „Pervitin”, o którym już pisałam. Panie, gdy ktoś przyniósł trochę mąki, smażyły w kuchni na pięttrze placki. Nie było to często. Głodowało się, choć dzięki pervitinowi jeść się nie chciało. Jarzyn czy świeżych owoców w ogóle nie było, no bo niby skąd... w Śródmieściu.

Tak mijały dni, do czasu przejścia na drugą stronę Alej. Nie pamiętam dokładnej daty, ale była to chyba druga połowa września. Byliśmy wszyscy udręczeni nieustającym bombardowaniem, pożarami itp. Niemcy od wielu dni, głodni, obsypani wiecznie kurzem, gruzem, ogłuszeni nieustannym hukiem, półprzytomni z wyczerpania. Po przejściu Alej Jerozolimskich, piwnicami wychodziło się na jakieś podwórko przy ul. Nowogrodzkiej. A tam... piękne, słoneczne popołudnie wrześniowe, w oknach czyste i całe szyby. Ludzie siedzą spokojnie na stołeczkach, rozmawiają. Inny świat! A my? Widząc nas jakaś kobieta zawołała: „O Jezu! A to co? Jakie brudne, umorusane, oberwane, co to za jedne?”

Poszliśmy na nasze kwatery w kamienicy przy ul. Koszykowej (nie pamiętam numeru, ale było to jeden lub dwa domy od biblioteki w kierunku dzisiejszego Placu Konstytucji). Kawalek tego domu chyba tkwi do dziś przy samym wyjściu na plac. Na I piętrze mieszkał ktoś z naszych i tam najpierw wszyscy weszliśmy. W oknach były szyby. W mieszkaniu, do którego weszliśmy, na czystej i lśniącej podłodze leżały dywany. Byliśmy u kresu sił. Każdy padał gdzie mógł i zasypiał. Okazało się, że nie dla wszystkich starczy miejsca w tym mieszkaniu. Załatwiono nam kwaterę po sąsiedzku, piętro wyżej, u starszego małżeństwa, które miało dwóch synów w Powstaniu na Mokotowie. Gdy tam weszliśmy tacy brudni i okropni, pani domu podniosła krzyk: „wandale, brudzą dywany, chamy precz!” W kolegów wstąpiła niepohamowana złość. Wypchnęli tę paniusię z pokoju i zamknęli drzwi. Nie odzywała się do nas, aż do czasu (kilka dni), gdy i tę część Śródmieścia objęły bombardowania i stało się tak samo jak w części, z której uciekliśmy. Wtedy zrozumiała, dlaczego tak wyglądaliśmy. My byliśmy już na wszystko zobojętniali. Wszystko się waliło, paliło. Waliła się także Polska, w której kilka tygodni żyliśmy strasznie, ale wolni, bez Niemców, bez strachu przed łapankami. Do strachu przed śmiercią byliśmy przyzwyczajeni, przecież bez przerwy były wokół nas trupy. Nie myślało się o śmierci. Jeżeli

czasem czegoś obawialiśmy się, to bycia rannym, bo to wiązało się z cierpieniem, na które nikt nic nie mógł poradzić. Chociaż, właściwie nie było czasu na takie myślenie. Ciągle trzeba było gdzieś biec, coś zanościć, przenościć, zawiadamiać, odszukiwać. Ciągle byłam w ruchu, ciągle gdzieś potrzebna.

Bombardowania nasiliły się, było coraz więcej zasypanych piwnic, które dopiero co były dogodnym przejściem. Specjalne służby bez przerwy coś naprawiały, coś przekopywały. W piwnicach prowadzących do przejścia pod Alejami było coraz gorzej, a przejść trzeba było nie raz, niekiedy 3-4 razy dziennie.

Na podwórku Biblioteki chowano zmarłych. Groby były płytkie. W czasie mocnych detonacji zmarli „wyskakiwali” z tych grobów. To była zhora tego miejsca. Nadal było głodno. W dawnym gimnazjum im. E. Plater (na podwórku) przy ul. Pięknej uruchomiono stołówkę dla żołnierzy. Stołowaliśmy się tam do samej kapitulacji. Na podwórku stały długie stoły i ławy i każdy żołnierz mógł raz dziennie dostać miskę zupy „pluj”. Był to rozgotowany z suszonymi jarzynami niełuskany owies. Po każdej łyżce wziętej do ust trzeba było wypluć te łuski, stąd nazwa. Jedliśmy to, bo nic innego nie było. Nawet nam to smakowało. Było to jedyne pożywienie na dobę. Z tego owsa Mama nasmażyła na blasze placków i z tym wyszliśmy z Powstania, jako jedynym „mieniem”.

Pewnego dnia przyszedł rozkaz, że podpisano kapitulację i mamy przygotować się do opuszczenia Warszawy. Nie chcieliśmy wierzyć. Opuścić Polskę? Iść do Niemców? Wydawało się to niemożliwe. Powiedziano, że wszystkie kobiety – łączniczki, sanitariuszki, które mają maturę lub ukończone 18 lat, dostaną stopień podporucznika, aby móc pójść do oflagu. Wiadomo było, że kobiet nie kierowano do stalagów, tylko wywożono do domów publicznych Hamburga itp. Wiadomo było, że dla mnie stopień podporucznika jest niemożliwy. W czasie Powstania otrzymałam starszego strzelca i jestem z niego dumna do dziś. W kilka dni przyszły te „awanse”, dla Mamy też. Rozpacz nasza była ogromna. Bardzo chcieliśmy iść z naszymi dokądkolwiek los by nas skierował. Nie miałyśmy domu, rodziny, nikogo – tylko ich. Powiedziano także, że kto nie chce lub nie może wyjść z wojskiem, wyjdzie z ludnością cywilną. Tak postąpiłyśmy my. Czułyśmy się bardzo samotne i opuszczone, ale innego wyjścia nie było. Pożegnanie było rozdzierające. Stałyśmy u wylotu ul. Lwowskiej, którędy wychodzili nasi i nie tylko zresztą nasi. Szły różne formacje. Było to bardzo smutne.

Kilka ostatnich dni mieszkaliśmy na Lwowskiej 11 lub 13 u rodziców Basi, naszej łączniczki. Basia postanowiła zostać z rodzicami. Czy ostatecznie wyszła z jakimś szpitalem czy została – nie pamiętam. Już nigdy więcej jej nie spotkałyśmy.

Mamie pozostawiono całą dokumentację naszego oddziału oraz dokumenty i pieniądze należące do pułkownika Malewicza (Hańczy). Miał się po to ktoś zgłosić. Ogromnie ucieszyłyśmy się, że ten ktoś to doktor Tadeusz (nazwiska nie pamiętam). Dr Tadeusz w czasie okupacji zajmował się między innymi ewidencją leków z apteki, o której pisałam wyżej. Oprócz tego pracował jako lekarz w szpitalu Dzieciątka Jezus na Nowogrodzkiej. Tam zajmował się między innymi organizowaniem przechowywania osób przed Niemcami. Osób rannych w akcjach, odbitych z przesłuchań czy też poszukiwanych. Szczegółów nie znam.

Wracam do tematu. Doktor, do którego chodziłyśmy (już po kapitulacji) do domu na rogu Wilczej i Marszałkowskiej przyjął od nas cały depozyt. Pieniądze pułkownika radził zabrać, bo na pewno nam się przydadzą, a pułkownik nie wiadomo czy jeszcze żyje, zresztą na pewno nie miałby żalu. Mama była oburzona taką propozycją – u nas nigdy cudzego się nie brało. Całość dokumentacji miała być zakopana (były tam także taśmy filmowe) w tymże domu, w specjalnym, dobrze zabezpieczonym miejscu. Doktor zostawał w Warszawie z ekipą tzw. kustoszy (wynegocjowane w ramach kapitulacji) do zabezpieczenia niektórych zabytków kultury (niemiecki cynizm). Co się z nim stało nie wiem.

Wreszcie nadszedł ten okrutny dzień, kiedy i my musiałyśmy opuścić naszą ukochaną Warszawę. Był to dzień 9 października 1944 roku. Wyszłyśmy rano, też z ulicy Lwowskiej i razem z innymi pędzonymi w kolumnach ludźmi przez ul. Filtrową, Ochotę doszłyśmy do Warszawy Zachodniej. Po drodze były ogródki działkowe. Wyglądali ludzie wybiegali z szeregu, by zerwać sobie pomidora itp. Niemcy strzelali do każdego. Znowu było wielu zabitych. Wytrzymali i przeżyli tyle okrucieństw, strachu, a zginęli przez pomidora. Koszmar ciągle trwał. Po przepędzeniu nas na dworzec załadowano nas do wagonów towarowych (bardzo ciasno upchniętych) i wywieziono do Ursusa. Do Ursusa, bo w obozie w Pruszkowie zabrakło już miejsca. Wydawało się, że to lepiej. O Pruszkowie opowiadano różne paskudne historie.

Na tym kończy się moja powstańcza historia. Z przysięgi żołnierza AK zostałyśmy z Mamą zwolnione w sierpniu 1946 roku.